25 marca 1947 r. Nr. 13 (73)

ŚWIAT dzieci

DODATEK TYGODNIOWY GŁOSU LUDU



W marcu br. upłynęło sto lat od daty urodzenia znakomitego pisarza, Adolfa Dygasińskiego, autora opowieści, których bohaterami są zwierzęta.

Dygasiński był również poetą i przyrodnikiem. Jako poeta, kochał świat, a jako przyrodnik, umiał patrzeć, badać i rozumieć życie. Z tą samą miłością i zrozumieniem odnosił się do dzieci.

Właśnie chcę tu wam coś o nim wydobyć z osobistych wspomnień, bo miałem szczęście sam być jego uczniem.

Byłem smykiem ośmioletnim i pierwszy raz poszedłem do szkoły. Nieśmiało wsunąłem się do klasy. Paru chłopców siedziało już w ławkach.

Usiadłem byle gdzie. Wnet potem zaczęli się schodzić coraz inni rówieśnicy moi; robiło się w ławkach coraz ciaśniej, a jednocześnie humor wstępował w gromadę.

Nagle z korytarza zadźwięczał głośny, długotrwały dzwonek.

Uciszyło się, bo do klasy wszedł pan dyrektor, a za nim inny pan.

Dyrektor kazał nam wstać, więc wstaliśmy. A potem powiedział, że ten drugi to jest pan Adolf Dygasiński i będzie naszym wychowawcą.

A kiedy pan dyrektor wyszedł, pan Dygasiński kazał nam usiąść i z początku nic nie mówił, tylko przyglądał się chłopcom.

— Czy wiecie — odezwał się wreszcie — co to jest uczeń na miejscu? Powiedz ty! — zwrócił się do blondyna z kartofelkowatym noskiem.

Ten zerwał się, jak za naciśnięciem sprężyny.

— Kiedy siedzę na swojej ławce, to jestem uczniem na miejscu — odpowiedział bez namysłu.

Dygasiński pogłaskał go po krótko ostrzyżonej czuprynie.

— Doskonale — rzekł. — Bardzoś rozsądnie rzecz wyjaśnił, ale mnie chodzi o coś innego.

I zaczął nam pan Dygasiński opowiadać, jak ważną jest praca ucznia. Ważna nie tylko dla niego, ważna przede wszystkim dla społeczeństwa. Rozumiecie?...

— Krajowi — mówił pan Dygasiński — potrzeba ludzi wykształconych. Im więcej ich ma, tym społeczeństwo jest silniejsze, zamożniejsze. Więc każdy uczeń pracuje na to, aby dać krajowi jeszcze jednego człowieka oświeconego. A jeżeli tę pracę lekceważy, jeżeli urwisuje się, zamiast korzystać — to marnuje czas i siły nauczyciela i niepotrzebnie zabiera miejsce w szkole innemu, z którego naród mógłby mieć kiedyś większą, niż z niego, pociechę.

Nie umiem ściśle powtórzyć, jak to nam wtedy mądrze, pięknie i zrozumiale pan Dygasiński opowiedział. Zaczęliśmy zupełnie inaczej sami na siebie patrzeć. Poczuliśmy się naprawdę ważnymi pracownikami.

— Otóż — kończył pan Dygasiński — uczeń na miejscu to jest taki uczeń, który rozumie swoje stanowisko, rozumie związane z nim obowiązki i niepotrzebnie miejsca w szkole nie zabiera.

Rozejrzałem się po klasie. Nikt nie rozmawiał. Wszystkie oczy wlepione były w nauczyciela. A on, skończywszy mówić, spojrzał na nas wesoło i jął gawędzić to z tym, to z owym tak poufale, jakby nie był przełożonym, a starym kolegą.

I rzeczywiście, wyrobił się taki stosunek, że traktowaliśmy Dygasińskiego jak towarzysza; odnosiliśmy się do niego tak, jak do wybranego przez nas samych przewodnika.

Szkoła posiadała plac do zabaw. Chodziliśmy tam parami pod wodzą nauczyciela gimnastyki. Co pewien czas, gdy przeczytało się o jakimś wydarzeniu historycznym — komendę obejmował Dygasiński i, zamiast ćwiczeń gimnastycznych, odtwarzaliśmy pod jego okiem ów fakt dziejowy. To broniliśmy Wiednia przed hordami Kara-Mustafy, to gromiliśmy krzyżaków pod Grunwaldem, to Zygmunt Stary przyjmował hołd wasala swego Albrechta; a kiedy razu jednego zerwała się krótkotrwała burza i zalała dostęp z placu do ulicy, urządziło się przeprawę Czarneckiego na wyspę Alsen. Co przy tym było śmiechu, co krzyków! Sam Dygasiński, jako hetman polny, do kolan zabłocił sobie spodnie.

Zresztą, nie tylko historyczne urządzał on zabawy. Niemniej dbał o to, abyśmy poznawali przyrodę. Wydzielono więc część placu, by można było sadzić i pielęgnować rośliny. Pamiętam, była tu specjalna grządka z posadzoną fasolą. Codzień inne odkopywało się ziarno i w ten sposób obserwowaliśmy, jak ono stopniowo w roślinę się przemienia.

A jeszcze więcej korzystaliśmy w czasie wycieczek zamiejskich, tzw. ekskursji. Prowadził nas Dygasiński byle gdzie — w stronę Wilanowa czy Rakowca — wszystko jedno. Zatrzymywaliśmy się w rozmaitych miejscach: w lesie, w polu, nad byle strugą albo kałużą... Zbieranie roślin, łowienie kijanek, łapanie owadów — wszystko rzecz zwykła. Niezwykłe wszakże były rozmowy, które przy tej sposobności prowadził z nami Dygasiński.

Każda napotkana żywa istota dawała mu okazję do uczenia nas, jak poznawać świat i jego cuda. Czy to był bocian, czy pędrak chrabąszcza, muskająca wodę jaskółka, czy pasąca się w rowie koza — zawsze miał tyle do opowiadania nam o nich, że słuchaliśmy nieraz, jak bajki o żelaznym wilku. A przecież to nie były wcale bajki, tylko najprawdziwsza prawda.

Nic tak nie dziwiło Dygasińskiego, jak brak spostrzegawczości i obojętność niektórych chłopców, patrzących na zwierzęta, a nic z tego nie pamiętających. Bardzo lubił zadawać nam niespodziewanie takie oto pytania: Jak szpic nosi ogon? Co robi bocian z nogami, gdy fruwa? Którą wargą koń chwyta siano?... Gdzie krowa ma przednie zęby?...

Na przodzie — odpowiedział zagadnięty.

— Pewno, że nie z tyłu — zaśmiał się Dygasiński. — Ale jak spotkasz krowę, to ją spytaj, czy ma siekącze w górnej szczęce.

Choć nie szczędził złośliwych uwag chłopcom, nie ciekawym tajemnic przyrody, czynił to zawsze tak wesoło, pogodnie, po koleżeńsku, że uczeń wstydził się, ale nigdy się nie gniewał.

Czy można się dziwić, żeśmy Dygasińskiego lubili?... Mało lubili! Kochaliśmy tego nauczyciela, wychowawcę, który sam przecież niczego innego nas nie uczył, jak kochać życie, kochać świat i starać się poznawać spółmieszkańców naszej planety, widzieć w nich dzieci tej samej, co my, natury — spółobywateli, a poniekąd nawet bliźnich.

BENEDYKT HERTZ

Adolf Dygasiński

WILK, PSY i LUDZIE

(Fragment z powieści)

Tymczasem Buta znów spożył kaczkę trzecią, czwartą i byłby zapewne ciągnął dalej korzyści z tego samego źródła, ale Jagna poczęła teraz na serio myśleć nad całością i bezpieczeństwem stada kaczek. Puściła się ona w łąkę i tutaj poznajdowała porozrzucane pierze nieboszczyków. Jagna pozbierała starannie różne pierze, poznane przez nią jako należące do rozmaitych, nienaturalną śmiercią zgasłych kaczorów, oraz kaczek i, dzierżąc te dokumenty w ręku, stanęła na progu kuchni.

— Widzita — mówiła — posądzaliśta to świniarza, to fornali, a to ta psia jucha wilk narobił tyle szkody i posądku.

— A no — zawołała kucharka — czy to ja nie mówiłam, że wilk jeno kiedy szkody narobi i koniec.

Niebawem ciekawa publika otoczyła Jagnę. Przyzwano do kuchni w sposób gwałtownie nagły pannę Truskawską, która właśnie w swoim pokoiku stawiała kabałę i wypadał jej zawsze, jako szkodnik, walet pikowy, z którego zaś wnosiła ona prawie na pewno, że z braku Bartka winowajcą być musi fornal Sobek, człowiek bardzo hardy. Wbiegła, dzwoniąc z daleka pękiem kluczy, wysłuchała sprawozdań Jagny, przyjrzała się uważnie zebranemu pierzu i rzekła tonem niewiasty, mającej za godło życia: „niczemu się nie dziwić“:

— Moi państwo, dałabym była głowę, że ten podły wilk stanie się przyczyną wielkiego nieszczęścia w domu.

— Chwalić Boga jeszcze — zagaił poważnie kucharz — że na tym się skończyło; cztery kaczki niewielka parada.

— Szczęście, że psia noga nie udusił karmnego wieprzka — rzekła kucharka.

— Albo i krowy — przemówiła dziewka od krów.

— Oho! Taki słowik, to lubi dusić i kobyłki — skonstatował dowcipnie lokaj Szczepan.

— Ola Boga żywego — krzyknęła Jagna, przerażona tym strasznym obrazem poduszonych w imaginacji tylu pożytecznych zwierząt.

— I co tu teraz robić z tym fantem? — odezwała się widocznie zakłopotana panna Truskawska.

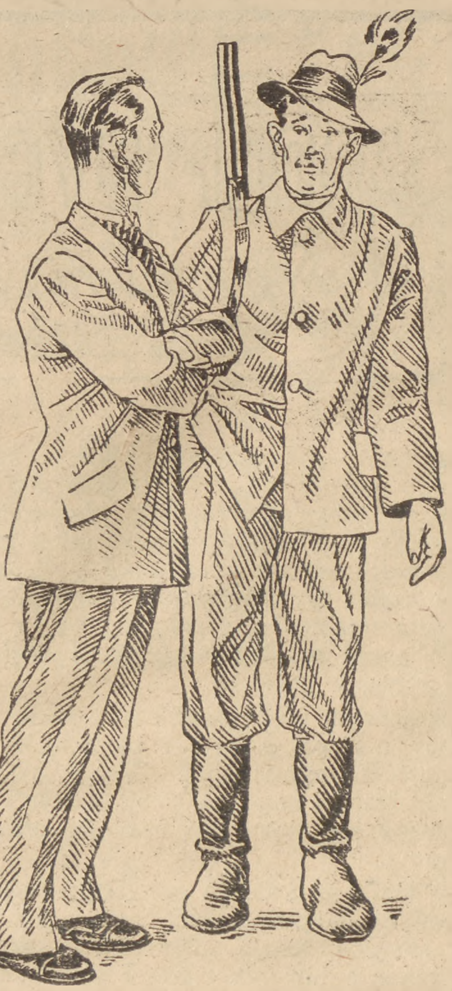
— Jakto — co robić? — rzecze pan Drożdżewicz z determinacją męża stanu. Trzeba całą sprawę przedstawić dziedzicowi, bo to nie żarty wilk w domu. Żeby to jeszcze zwyczajny wilk... — dodał po namyśle i z miną tajemniczą. — My tu wszyscy ludzie życia nie jesteśmy pewni... Mówiąc to wdział na głowę białą szlafmycę, zrobił gest, kręcąc głową, a rękami wykładając jakoby na wierzch groźne położenie. Jęknęły wszystkie kobiety głosem przerażenia i lękliwie spojrzały ku drzwiom otwartym od podwórza. A kucharz dodał jeszcze:

— Nawet psy nie trzymają z takim stworzeniem... Wiem ja o tym dużo, wie też dosyć Szymon strzelec.

Wieść o zbrodni Buty rozeszła się lotem błyskawicy po Małowieskim dworze, a z nią razem krążyła także nieobjaśniona, tajemnicza zagadka o jego pochodzeniu i naturze. Gdym dnia owego wracał z przechadzki, spotkałem za wsią na drodze Szymona, który od dworu zdążał ku lasowi. Przywitał mnie grzecznie, ale widocznie miał zamiar uniknąć rozmowy i ledwie go zatrzymałem mówiąc:

— Cóż to, Szymonie, chcecie już, widzę, zapomnieć o naszych przyjacielskich stosunkach?

— Ej nie, — odpowie starzec — ale — dodał, szepcząc mi na ucho — niech mnie pan posłucha i tego łajdaka zastrzeli, albo zwiąże i w stawie utopi, bo będzie z tego nieszczęście na wsi.



— Co też mówicie Szymonie...

— Ja to panu powiadam — twierdził ze stanowczością Szymon. — Cóż to, mało już lamentu we dworze narobił? — A co będzie dalej? Niech ręka boska broni?

— A cóż on takiego zrobił? Nic nie wiem.

— Ba, ludzie panu nie powiedzieli jeszcze? A to tam piekło we dworze: kaczek huk naginęło, Bartek pastuch już przez niego ze służby wyleciał. Co się jeszcze stać może, Bóg raczy wiedzieć — rzekł strzelec, wzdychając. Teraz dopiero, będąc poinformowanym przez Szymona, z rozmaitych źródeł zebrałem troskliwie wszelakie wiadomości, dotyczące postępowania wilka, i poznałem nagą prawdę. Co prawda, przekonałem się, że wilk oswojony jest szkodnikiem, ale że szkody, których się dotąd dopuścił, nie były proporcjonalne do nienawiści, jaką przeciw sobie obudził.

Gdy jednak zewsząd brzmiały głosy: „zabij, otruj, utop, rozstrzelaj“, musiałem coś zrobić dla przesądów mego społeczeństwa, aby w nim żyć. Przeprowadziłem więc Butę do drugiego klombu na dziedzińcu, położonego z dala od łączki, a przylegającego do stodół. Myślałem sobie: Nie trzeba ani wilkowi, ani ludziom dawać sposobności, aby byli źli. Wilkowi więc stworzyłem świat cichy, wśród którego nie było pola do łakomstwa i drapieżności. Dla ludzi zrobiłem tyle, że wilka przywiązałem na łańcuszku do pnia drzewa.

Była to właśnie pora żniw, zwożono snopy z pola do stodoły położonej na wzgórzu. Z początku Buta gryzł swój łańcuszek, gdy go atoli usiłowania zawiodły, topił zęby w pniu drzewa akacjowego. Osiągnął stąd pewną satysfakcję, jednakże gryzienia zaprzestał i począł się godzić ze swoim losem. To sobie leżał, przypadłszy do ziemi, to postawał na wszystkich czterech nogach, to znów na przednich tylko. Najczęściej znajdowałem go w tej ostatniej postawie, wsłuchującego się przy tym, jak i poprzednio, w różne odległe głosy.

Jeżeli pod kurnikiem Jagna się zdrzemnęła, a panna Truskawska w swoim pokoiku stawiała kabałę, to i indyczki jedna za drugą zabierały się sprzed kurnika na małą wędrówkę ku lubej stodole, owemu celowi westchnień i marzeń rozmaitego zwierza.

Miał więc Buta czym napaść swoje ucho, a nawet oko, gdyż przez gęste krzewy umiał on przebić się bystrym i pewnym wzrokiem. Nie mówiąc już o tym, że częstokroć wpadał w krzaki sroka jedna i druga, widząc wilka, leżącego na ziemi, narobiła hałasu, wrzasku, nawrzeszczała się, naskrzeczała i poleciała dalej. Nie zachowywały się też skromnie i sikory; ale wilk w tych razach pozostawał stoicznie cierpliwy, słuchał, nie dając żadnej oznaki niezadowolenia lub obrazy. Bywało, że i kot, ulubieniec francuskiej guwernantki, wpadł w gęstwinę, lecz ten szedł tak delikatnie w swych jedwabistych pantofelkach, zerkał oczkami tak bystro na wszystkie strony, że zwykle ominął Butę. Tylko pierwszy raz, gdy ujrzał wilka przyczajonego, mienił to być atakiem, wymierzonym ku swej osobie; więc o sześć kroków stanął, grzbiet wygiął w kabłąk, ogon w półkole i fuknął parę razy, ale widząc, że wilk ciągle leży dosyć obojętny, wdrapał się na najbliższe drzewo i z wysoka przyglądał się Bucie.

Jagna popadła w sen twardy, w czasie którego człowiek zwykł głośno chrapać. Spostrzegły to indyczki i dalejże się wynosić chyłkiem do stodoły. Nie szły one, ale biegły na wyścigi, jak człowiek nie mający czasu do stracenia, aż się indyk zadyszał. Jakoś wtedy właśnie był ekonom w stodole, więc wrzasnął na chłopaka, który skręcał powrósła.

— Maciek, rozpędź mi to łajdactwo na cztery wiatry.

Tego też tylko Maciusiowi było potrzeba. Znalazł on sobie dobrą wić, rzucił się na stado indyków i począł je tak natarczywie prześladować, że strwożone ptaki pędząc gnane ze stodoły, w rozpędzie prosto z bramy wpadły do klombu, służącego za mieszkanie wilkowi. Do tej zawziętości ze strony Maciusia przyłożyła się nie tylko okoliczność, iż odebrał od pana ekonoma rozkaz, w którym indyki nazwane zostały łajdakami, ale chłopak miał żal do indyka, gdyż ten zawsze malców zaczepiał, chodziło więc o to, aby napastnikowi przyłożyć co witka.

Ani się spodziewał Buta takich miłych gości, spojrzał, a tu koło niego na prawo, na lewo, pomykają biedne indyczki, a zziajany indyk pod sam nos mu włazi. Tego już było za wiele nawet na najcnotliwszego wilka, cóż dopiero takiego, który między antenaty liczył zuchwałego wilkołaka. Jak więc nie chwyci indyka za łeb... chrust... chrust... chrust — i po wszystkiemu.

BENEDYKT HERTZ

Wesoły alfabet zoologiczny



Jeleń wkłada szkła na oczy.



Jeż z jaszczurką wojnę toczy.



Koza brodę czesze szczotką.



Konik się uśmiecha słodko.



Lis się z lampartem naradza.

CZARODZIEJSKIE szkiełko FRANKA

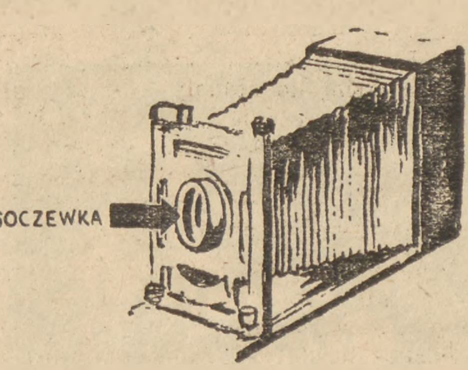
„Nie ruszaj palcami. Wcale nie ta sama, tylko inna podobna, też wypukła".

„Już nie będę wcale ruszała" — obiecała przestraszona Hania — „i co?"

„I ta soczewka wytwarza obraz tu na matówce, widzisz?"

Hania spojrzała na matową szybkę z tyłu aparatu i zobaczyła tu wazonik z kwiatkami do góry nogami i bardzo zmniejszony.

„Ach jakie śliczne" — zawołała — „tylko powiedz mi, dlaczego ten wazonik jest zmniejszony?"



„Bo odległość wazonika od aparatu jest większa niż ogniskowa obiektywu". — Tłumaczył poważnie Franek. Nie pomyślał jednak o tym, że nie powiedział siostrze wcale, co to jest ognisko ani ogniskowa.

Toteż Hania nie zrozumiała tego wyjaśnienia, ale nie miała odwagi dopytywać się drugi raz o to samo.

„Ale jak ten obraz przechodzi z matówki na papier?" — pytała w nadziei, że to będzie może zrozumialsze.

„On wcale nie przechodzi z matówki. Matówka jest po to, żeby dobrze nastawić aparat. Kiedy już jest nastawione wyjmuje się matówkę i wkłada się w to miejsce kliszę i obraz, który widziałaś na matówce, pada na kliszę. Klisza czernieje od światła. Dlatego tam, gdzie jest na obrazku jasne miejsce, czernieje więcej, tam gdzie ciemne, mniej. Na przykład niebo jest jasne a kot czarny, więc na kliszy wyjdzie niebo czarne a kotek będzie prawie zupełnie biały. Klisza z takim zdjęciem nazywa się negatyw".

„Co, mój kotek będzie na kliszy biały? Pokaż mi tę kliszę" — zawołała Hania.

„Teraz jeszcze na niej nic nie widać i zresztą nie można jej wyjąć na światło, bo potem byłaby zupełnie czarna".

Hania nie wierzyła. — „Ty tak mówisz, bo nie chcesz mi pokazać.

Franek uśmiechnął się pobłażliwie. — „Nie wierzysz, bo nie wiesz jak się robi fotografię. Dziś wieczór pójdę do Heńka, tam wyjmiemy kliszę po ciemku i wykąpiemy w wywoływaczu; wtedy dopiero wystąpi na niej obraz. Potem ją jeszcze zanurzymy w utrwalaczu, żeby już więcej nie czerniała i żeby ten obraz został już na niej na zawsze. Potem klisza wyschnie i będzie gotowa".

„I kotek będzie na niej biały?" — dziwiła się wciąż Hania.

„Tak, na kliszy kotek będzie biały, a twój fartuszek czarny, ale my potem przykryjemy tę kliszę kawałkiem papieru fotograficznego i położymy na słońcu. Światło słońca przechodząc przez kliszę zaczerni papier zupełnie odwrotnie niż to jest na kliszy; tam gdzie na kliszy jest czarne na papierze będzie białe i na odwrót".

„To znaczy, że na papierze będzie fartuszek biały, kotek czarny i w ogóle wszystko tak jak jest naprawdę?" — zapytała Hania, której się to wydawało bardzo dziwne.

„Tak" — odrzekł Franek — „a najlepiej to zrozumiesz jutro, kiedy ci pokażę kliszę i odbitkę".

X

W ciągu kilku dni Franek miał tyle nowych i ciekawych zajęć, że zapomniał o swoim notesie.

Dopiero gdy już skończył utrwalać ostatnie odbitki swoich fotografii, pomyślał, że warto by zanotować najważniejsze wiadomości. Wyjął więc notes i zapisał w nim co następuje:

1) Jeżeli odległość przedmiotu od soczewki jest większa niż podwójna odległość ogniskowa, to obraz jest rzeczywisty (t. zn. że można go zobaczyć na ekranie) odwrócony i zmniejszony. Z tym wypadkiem spotykamy się w aparacie fotograficznym.





2) Jeżeli przedmiot umieścimy między ogniskiem a punktem, którego odległość od soczewki jest dwa razy większa od odległości ogniskowej, to obraz jest rzeczywisty, odwrócony i powiększony.

(Dalszy ciąg nastąpi)

O KRÓLU ROKU i jego czterech córach

Baśń

Przed wielu, wielu wiekami objął władzę nad światem król Rok. Król był młody i pełen dobrych chęci, chciał, żeby za jego panowania wszystkim dobrze było na świecie, żeby go kiedyś ludzie mogli dobrze wspominać.

Król Rok miał cztery córy: Wiosnę, Lato, Jesień i Zimę Wiosna była zawsze uśmiechnięta i wesoła, lubiła kwiaty, ptaki i słońce. Wszystkim wokoło rozsyłała życzliwe uśmiechy, a każdy, nawet najsmutniejszy, na widok jej pogodnego obli-



cza — choć na chwilę zapominał o swym smutku i uśmiechał się radośnie.

Druga córa królewska, zwana Latem, była poważniejsza od swej siostry Wiosny. Odznaczała się gospodarnością i szczodrością, chętnie wszystkich darzyła ciepłem i plonami pól, sadów i lasów.



Nie ustępowała jej w szczodrości Jesień — jeszcze nawet hojniejsza. Lecz Jesień miała jedną wadę: bywała czasem kapryśna. Gdy wpadła w zły humor, wówczas wytwarzała wokół ponury, szary nastrój.

Całkiem odmienna od swych sióstr była Zima. Chłodna i nieprzystępna, skąpa, rzadko bywała w dobrym humorze i okazywała trochę życzliwości ludziom.

Pewnego razu przyszły wszystkie cztery córy do króla i rzekły:

— Królu i ojcze! Nudzi nas bezczynne siedzenie w pałacu. Zabawy nam obrzydły, czytanie zmęczyło, do rozmów wyczerpały się tematy. Wyznacz nam, prosimy, jakieś zajęcie, byśmy mogły rozproszyć umysły i pożytecznie czas spędzić.

Pogładził brodę król Rok, rad z tego oświadczenia córek. Wiedział, że nic tak nie niszczy sił człowieka i nie wypacza jego charakteru —` jak bezczynne i leniwe życie.

— Dobrze — odrzekł na prośbę córek — dam wam zajęcie. Każda z was kolejno, w ciągu części roku, będzie sprawowała rządy nad światem. Ja będę czuwał nad wami, ale nie będę się mieszał do spraw waszych. Ufam, że się dobrze wywiążecie z zadania.

Stało się, jak król powiedział.

Najpierw objęła rządy nad światem królewna Wiosna, jako najstarsza z sióstr. Rozsiewała wokół uśmiechy i słońca promienie; obdarzyła świat ptakami i kwiatami; gdzie stanęła — tam się robiło pięknie i wesoło, a gdy odchodziła — zostawiała za sobą tęsknotę.

Ale i na królewnę Lato nikt nie mógł narzekać. Stateczniejsza od siostry, bardziej gospodarna, obdarzyła ludzi zbożami i owocami. Czasem trochę dopiekła słońcem w zbytniej gorliwości, ale nikt na nią nie narzekał — lubiono stateczną królewnę i panowało ogólne zadowolenie z jej rządów.

Gdy nastąpiła po niej Jesień, początkowo zabrała się z zapałem do pracy: naśladując swą poprzedniczkę obsypywała nadal ludzi hojnymi darami. Że jednak miała charakter trochę kapryśny — szybko się jej praca sprzykrzyła. Królewna zaczęła nudzić się i popłakiwać, a od jej smutku na świecie zrobiło się szaro i deszczowo, zieleń powiędła, pola opustoszały — smutek otulił ziemię.

Nikt nie żałował, gdy skończył się okres rządów kapryśnej królewny i z ulgą powitano nową władczynię — Zimę.

Początkowo, sroga z natury królewna, była dość łagodna. Wprawdzie wiało od niej lodowatym chłodem, ale po kaprysach Jesieni każdy rad był odmianie, oczekując z zaciekawieniem dalszych poczynań Zimy. Prowadzono też dyskusje, a nawet robiono zakłady: jaka się okaże nowa władczyni? Będzie względna i łagodna, czy też sroga i bezlitosna?

I oto powoli królewna stawała się coraz sroższa, nieustępliwsza. Ci, co liczyli na jej łagodność — zawiedli się srodze. Zima nikomu nie darowała: nie miała względów dla biednych, dla sierot, dla chorych — była bezlitosna. Nic nie pomagały prośby bezdomnych, bosych i cierpiących o trochę ciepła.

Wreszcie zaczęły napływać skargi do króla na królewnę Zimę: że jest bezlitosna, okrutna, dokuczliwa, sroga...

Król zmartwił się bardzo, a że był już podówczas w wieku sędziwym, więc mu to zaszkodziło na zdrowiu. Wezwał do siebie srogą córę i chciał ją nakłonić do nieco łagodniejszych rządów nad światem, ale królewna odparła zuchwale, że ojciec w rządzeniu zostawił im zupełną swobodę, więc mają prawo postępować tak, jak im się podoba.

Posmutniał król - staruszek jeszcze bardziej i jeszcze silniej podupadł na zdro-



wiu, a widząc, że koniec jego się zbliża, uczynił swym następcą jednego z młodych rycerzy, powierzając mu opiekę nad córkami.

Wielu od tego czasu zmieniło się rycerzy — następców króla Roka, a królewny po dawnemu wciąż sprawują kolejno swe rządy nad światem. Tylko królewnie Zimie, od wielkiej srogości, serce zamieniło się w bryłę lodu i nie jest zdolne nikogo pokochać, ani wzbudzić dla siebie niczyjej miłości. Z niepokojem i troską witają ludzie nadejście jej rządów, a żegnają — z westchnieniem ulgi.



JANINA HANKISZOWNA